

Opowiadanie

MOJA WIELKA WAKACYJNA PRZYGODA

To były nasze pierwsze wakacje bez taty. Przez cały rok bardzo cieszyliśmy się, że pojedziemy nad morze, do nowego ośrodka wczasowego z fabryki. Ale pojechaliśmy w góry, bo babcia tam się najlepiej czuła i miała znajomą panią gaździnę. W górach też było fajnie. Przede wszystkim chodziliśmy z Wojtusiem, moim młodszym bratem, po lesie i nad strumień, i bawiliśmy się też z chłopakami od pana gospodarza. Oni nas z Wojtusiem w pierwszy dzień pobili, ale potem już było fajnie, i pokazali nam wiele różnych ciekawych rzeczy w garażu i w magazynie ich taty. Najbardziej nie lubiłem tylko, jak się śmiali czasem z Wojtusia, bo Wojtusiowi czasem rączka się tak trzęsła, i on wtedy też nie mógł mówić ani chodzić.

Na wakacjach obchodziliśmy także urodziny naszej mamy. Mama dostała od babci w prezencie nową, skórzaną torebkę, taką samą jak miała babcia. I babcia powiedziała jej, że teraz będzie mogła się wreszcie z czymś ludziom pokazać, i żeby w końcu zakreśliła się wokół jakiegoś chłopca. Ale mamie nie za bardzo ta torebka się podobała i nawet się z babcią o coś pokłóciła. Atmosfera zrobiła się niemiła, więc pojechaliśmy z mamą bez babci do miasta, do koktajl baru. Mama kupiła nam wtedy podwójną porcję lodów, a nawet kupiła nam pepsi. A babcia nie pozwalała nam pić pepsi, żebyśmy nie mieli chorych gardła. Wojtuś pił pepsi pierwszy raz w życiu i był bardzo zadowolony. I to było dla mnie lepsze od samej pepsi, bo ja już kiedyś piłem pepsi, bo mi tata kupił.

A pewnej nocy Wojtuś zaczął głośno krzyczeć, tak, że mnie obudził, i musiałem pobiec po ciemku po mamę i babcię do drugiego pokoju. I Wojtuś powiedział, że go boli brzuch i że się bardzo boi. Na szczęście babcia wiedziała, co robić, i szybko poszła do pani gaździny, i poszły po panią doktor do wsi. Pani doktor była starszą kobietą i miała brodę, i taką dużą, skórzaną torbę, którą postawiła obok torebki babci na stole. Miała też śmieszne nazwisko, coś związanego z kupą, ale pani gaździna powiedziała, że ona jest sto razy lepsza od tych młodych, miastowych, co się na niczym nie znają. I pani doktor zapytała Wojtusia, czy jadł coś, czego inni nie jedli, na przykład coś z ziemi. Wojtuś powiedział, że nie jadł. A babcia powiedziała, że na pewno coś musiał zjeść, tylko boi się przyznać. A ja wiedziałem, że Wojtuś nic nie zjadł, bo Wojtuś nigdy nic nie robił sam, i o wszystkim mi mówił. Potem babcia znalazła plastikowy worek, w którym mieliśmy ukryte niedojrzałe jagody, bo chłopaki mieli nam załatwić metalowe rurki do plucia. I powiedziała do mojej mamy:

– Widzisz Bożenko, tyle razy ci powtarzałam, że nie można słuchać tego, co mówią dzieci.

I bardzo się ucieszyły z panią doktor, że już wiedzą, dlaczego Wojtuś się źle czuje. A Wojtuś już chyba nie miał siły powtarzać, że on tych jagód nie jadł, i był cały blady, więc ja zacząłem krzyczeć. Wtedy moja mama powiedziała, że może jednak trzeba jechać na pogotowie do miasta, ale pani doktor powiedziała, że ona też jest lekarzem i wie, co trzeba robić, i tylko wypisała recepty. A ja się nie mogłem uspokoić i powiedziałem, że jakby był tata, to na pewno byśmy pojechali samochodem na pogotowie do miasta. Ale babcia mnie skrzyczała, żebym nie mówił, co nasz tata by zrobił albo nie zrobił, bo jestem jeszcze na takie rzeczy za smarkaty. I bałem się, że mnie zbije w buzię, tak jak kiedyś Wojtusia, jak nie chciał jeść przy stole, gdy nie było mamy, i też mu powiedziała, że powinien dziękować, że tak dostał, bo dzięki temu, może będzie inny niż jego ojciec.

A jak rano się obudziłem, to torba pani doktor znowu stała na stole obok torebki babci, tylko Wojtusia już nigdzie nie było, i nikt mi nie chciał powiedzieć, gdzie on jest. Więc ze złości rozgniotłem te nasze twarde jagody do tych toreb, brałem je do buzi, gryzłem i plułem, a nawet połykałem, i robiłem tak palcem do gardła jak po niedobrym obiedzie w przedszkolu. A potem uciekłem do lasu i pamiętam tylko, że mama mnie znalazła i powiedziała, że Wojtuś od nas

odszedł, że coś tam w jego słabym ciałku pękło, i żebym był grzeczny, bo jej też jest ciężko i nie ma się na kim oprzeć.

I resztę wakacji spędziłem już w domu, na osiedlu. Tylko nie wolno mi było wtedy samemu nigdzie chodzić ani zostawać. Także wszędzie musiałem chodzić z babcią: na zakupy, do parku. Babcia najbardziej lubiła chodzić do kiosku Ruchu, bo lubiła sobie porozmawiać z panią kioskarką. Ale tam nie było za bardzo co robić, a bez Wojtusia to nawet nie chciało mi się zbierać petów czy kapsli. Więc stałem tam tylko i próbowałem podsłuchać, o czym babcia rozmawia z panią kioskarką. Aż przyszedł nagle jakiś pan, który miał kopertę w ręku, i stanął obok babci. I dłuższą chwilę czekał, aż w końcu pani kioskarka powiedziała do mojej babci:

– Przepraszam cię, Irenko, na chwilę, ale chyba ten pijaczek czegoś chce.

A ten pan wcale nie chciał kupić wódki, tylko znaczek na list. I pani kioskarka się zdenerwowała i powiedziała, że już od miesiąca nie sprzedaje znaczków, bo ona nie jest jakąś panią z okienka pocztowego, i że tu się tylko gazety sprzedaje. Co nie było do końca prawdą, bo pani kioskarka sprzedawała też czasem mojej babci rajstopy. A wtedy ten pan krzyknął:

– To po cholere! skrzynka pocztowa przy kiosku stoi?!

– A chuj tobie stoi, zapita mordę?! Mam wezwać milicję?!

Pani kioskarka odkrzyknęła mu przez ten otwór, co się podaje pieniądze. I potem powiedziała do mojej babci, że na kilometr alkoholem zalatuje, a jest jeszcze przed trzynastą, i żeby babcia uważała na swoją torebkę. A babcia powiedziała, że przed wojną, jak jeszcze żył jej mąż, to by było nie do pomyślenia, żeby mężczyzna w ten sposób zwracał się do kobiety publicznie. I że dziecko słucha, i się wszystkiego uczy. I pani kioskarka się zainteresowała jakie dziecko, więc babcia mi kazała podejść i powiedziała:

– Mojego Piotrusia pani nie zna? Prawdziwy zuch, do pierwszy klasy za kilka dni idzie!

A ja cały czas myślałem o tym panu, co sobie poszedł, i o tym, że gdybym miał taką kopertę, i miał znaczek, i umiał już pisać, to mógłbym opisać, co się stało w te wakacje, i że Wojtuś wcale nie jadł tych jagód, i że to nie przeze mnie się stało. Bo babcia powiedziała, że jak się nie będę jej słuchał, to ona pójdzie do szkoły i powie, co robiłem na wakacjach, i że zabrudziłem jagodami torbę pani doktor. Więc po drodze do domu zapytałem babcię, czy taka koperta i znaczek to dużo kosztują. A babcia mi powiedziała, że bardzo dużo, ale że jak będę grzeczny, to mi kiedyś da.

I rzeczywiście jak odprowadzała mnie na pierwszą lekcję do szkoły, to dała mi niebieską kopertę, z naklejonym już znaczkiem i stemplem, i powiedziała, że tylko trzeba będzie skreślić adresata i wpisać innego. I że jak będę się dobrze sprawował w szkole i słuchał pani nauczycielki, to wyślemy coś razem do dziadziusia w niebie. A ja wcale nie chciałem wysyłać do dziadziusia, którego nie znałem, tylko do taty. I tylko się zastanawiałem, ile czasu potrzeba, żeby się nauczyć pisać, i czy ten znaczek jest wystarczająco duży, żeby list mógł obejść cały świat i odszukać mojego tatę.

A w klasie najpierw pani dyrektor pokazywała nam godło na ścianie i panią wychowawczynię. A jak już sobie poszła, to pani wychowawczyni podchodziła do każdego dziecka i pytała się na głos o imię i nazwisko, i gdzie, i z kim się mieszka. I niektórzy nie wiedzieli jak mają na nazwisko, i to było śmieszne. A ja nie wiedziałem, gdzie jest mój tata, ale przede mną jakiś chłopak powiedział, że jego tata jest w Ameryce, więc jak pani podeszła do mnie, to powiedziałem, że mój tata jest z młodszym bratem Wojtusiem też w Ameryce.

A potem pani wychowawczyni powiedziała niestety, żebyśmy schowali zeszyty i elementarze, bo na pierwszej lekcji nie będziemy się jeszcze z nich uczyć tylko wspólnie bawić. I że nauczymy się nowej piosenki. I okazało się, że dzieci, które chodziły do przedszkola za parkiem, już znały tę piosenkę, więc to nie było do końca sprawiedliwe. I wyszliśmy z ławek, i mieliśmy pokazywać rękami słowa piosenki, tak samo jak w przedszkolu robiliśmy, na przykład: *mieszkamy w lesie zielonym* – takie daszki z rąk, *oczek mamy czarne* – na oczy, *bużki granatowe* – na buzię, i pani też śpiewała z nami, ale nie pokazywała, tylko cały czas siedziała za biurkiem, a my śpiewaliśmy, *a sukienki są zielone i seledynowe*, i tu dziewczynki miały łatwiej. A jak był refren to mieliśmy maszerować dookoła wszyscy, i podnosić wysoko kolana i łokcie, i pamiętam, jak pani

wychowawczynie do mnie wołała: *Piotruś, głośniej, głośniej, a kiedy dzień nadchodzi, dzień nadchodzi, dobrze, idziemy na jagody, na jagody, Piotruś, kolanka wyżej, wyżej, dobrze, a nasze czarne serca, czarne serca, wszyscy razem, biją nam radośnie bum, tarara bum, i jeszcze raz, wszyscy razem, uwaga, teraz, głośno,*

A kiedy dzień nadchodzi, dzień nadchodzi,

Idziemy na jagody, na jagody,

A nasze czarne serca, czarne serca,

Biją nam radośnie bum, tarara bum!

Posłuchaj na zakończenie*:

<http://krzysztofrozmus.net/opowiadania/multimedia/20060206/Czarne-jagodki.mp3>

9 lutego 2007 © Krzysztof Rozmus
<http://krzysztofrozmus.net>

* Nagranie *Czarne jagódki* pochodzi z płyty *Jedyneczki i Dwójeczki vol.5* (Wydawnictwo Muzyczne Folk s.c.).